

10. Szukając siebie

Po odejściu Niki znalazłem się w położeniu, w którym nikt nie chciałby się znaleźć. Na długo przed tym przestałem traktować siebie jako jednostkę, a zacząłem jako składową innej całości, niepotrafiącej dłużej funkcjonować samodzielnie. Wisząc nad psychiczną przepaścią, miałem się przekonać, czy było tak, jak zakładałem. Duchowość brutalnie zderzała się ze ścianą fizyczności. W pojedynczych przeblyskach świadomości myślałem jedynie o tym, czy dam radę się przez nią przebić i odzyskać cel w dalszym życiu, czy też mur okaże się zbyt gruby i na zawsze uwięzi mnie w tym emocjonalnym spustoszeniu. Wbrew swojej woli miałem dowiedzieć się, która ze znanych mi wcześniej teorii miłości jest prawdziwa: czy to połączenie dusz, czy zwykła chemiczna reakcja. Chociaż bardzo chciałem wierzyć w prostotę ludzkiego funkcjonowania, byłem przekonany, że pustka, jaką pozostawiła we mnie śmierć Niki, jest znacznie głębsza, niż można wytłumaczyć.

Jeśli miałbym opisać stan duchowy jako miejsce, w którym można czuć, widzieć, tworzyć i budować, to w moim wypadku do tamtego czasu był to malowniczy, górski teren z uroczą chatką otoczoną przeróżnymi kwiatami, krzewami i drzewami. Wokół słychać było szum drzew i śpiew ptaków, co dawało mi wyciszenie i poczucie spełnienia. Właśnie tam mieściło się źródło mojej witalności i zapału do życia.

Ta baśniowo piękna kraina nie należała wyłącznie do mnie. Stworzyliśmy ją razem z Niką. Każdy znajdujący się w niej element wiązał się z jakąś historią z naszego życia. Niezależnie, gdzie byliśmy ciałem, nasze dusze spotykały się właśnie tam. Przemęczeni w świecie obowiązków, uciekając w to miejsce, znajdowaliśmy ukojenie i dawaliśmy sobie największe szczęście. Wyobrażając sobie raj, myślałem właśnie o tym stworzonym przez nas zakątku.

Śmierć Weroniki sprawiła, że nasza duchowa kraina niespodziewanie została zrównana z ziemią. Nie zaniedbałem jej, nie pozwoliłem jej na stopniowe niszczenie. Robiłem wszystko, co umiałem, żeby ją rozwijać i czynić ją jeszcze wspanialszą. Nagle jedno zdarzenie zamieniło wszystko w kompletną ruinę. Pozostały jedynie zadymione zgliszcza, a unoszący się obłok kurzu i dymu przeistaczał przyjemne światło słońca w ponury mrok.

W życiu realnym stałem się kompletnym wrakiem człowieka. Nie licząc pojedynczych zdań, praktycznie nie rozmawiałem z ludźmi. Przestałem płakać, przestałem reagować na otoczenie, coraz głębiej popadałem w nicość. Mentalnie odchodziłem gdzieś daleko, żeby pozwolić swojej duszy na nieuniknioną śmierć.

W pierwszych dniach po tym dramatycznym wydarzeniu nie byłem w stanie jeść, a mój organizm zachowywał się, jakby był poważnie zatruty. Psychika również przestawała pracować, jak powinna. Potrafiłem bez przerwy przez kilka godzin wpatrywać się w jeden punkt. Mój stan niepokoił znajdujących się wtedy przy mnie bliskich, którzy tak jak potrafili, starali się dodawać mi otuchy.

Od Ady dowiedziałem się, że według lekarzy przyczyną śmierci Niki był tętniak mózgu. Prawdopodobnie to on spowodował ból głowy, o którym mówiła mi w trakcie naszej ostatniej rozmowy. Zadręczałem się, że gdybym nie zostawił jej wtedy samej, może byłbym w stanie jej jakoś pomóc, że być może siedziałbym właśnie wtedy obok i troszczył się o nią. Z każdą chwilą uświadamiania sobie tego faktu swój wielki żal do losu zamieniałem na wściekłość na samego siebie. Myślałem o tym, że przecież ludzie z tego wychodzą, trzeba tylko szybko reagować. Uznałem, że przez mój wyjazd umierała samotnie, leżała na podłodze bez żadnego wsparcia, odchodziła bez najmniejszej nadziei.

Nikt nie był w stanie wytłumaczyć mi wtedy, że nie mogłem niczego zrobić, bo sytuacji nie dało się przewidzieć. Sam czułem inaczej, miałem wrażenie, że gdybym tylko był czujny, mógłbym wszystkiemu zapobiec.

Potwierdzenie tego przyszło wraz ze wspomnieniem słów, jakimi mnie żegnała w Warszawie. Powiedziała: „wybierz dobrze”. Pomyślałem, że najwyraźniej przeczuwała to, co miało się stać, i w ten sposób namawiała mnie na rezygnację z wyjazdu. Nie mogłem mieć pewności, czy dobrze interpretuję te słowa, ale w tamtej chwili wydały mi się oczywiste.

Zmagając się z poczuciem winy, złością, żalem i pogłębiając się w wrażeniu bezsensu istnienia, przeżywałem zdecydowanie najtrudniejszy okres w życiu.

Gdy nadszedł czas pogrzebu, moi bliscy przekonywali mnie, żebym tam się z nią pożegnał. Nie potrafiłem tego zrobić. Nie miałem w sobie siły, żeby stanąć przed takim wyzwaniem. Straciłem osobę, dla której żyłem, i w tamtej chwili chciałem tylko dołączyć do niej.

W tych dramatycznych okolicznościach miałem możliwość tymczasowo zamieszkać u przyjaciółki albo rodziny, jednak w żadnym z tych rozwiązań nie potrafiłem dostrzec pozytywów i nie dałem się im przekonać do opuszczenia Białoleki. Wolałem być sam... bez litości, obserwacji i porad innych.

Nie było to do końca możliwe, bo bez przerwy przychodziła do mnie Ada. Z początku trochę to irytowało, ale szybko doceniłem jej pomoc. Bez niej prawdopodobnie zapuściłbym się jak jakiś menel. Któregoś razu zabrała ze sobą klucze Niki, dzięki czemu nie musiałem nawet wstawać z łóżka, żeby otwierać jej drzwi. Muszę przyznać, że bardzo starała się dobrze mną opiekować, ale nie było chyba siły, która mogłaby wtedy cokolwiek poprawić w moim beznadziejnym życiu.

Mój pesymizm mocno odbijał się na zachowaniu, zwłaszcza wobec opiekującej się mną przyjaciółki. Kiedy już cokolwiek mówiłem, nie było to nic przyjemnego. Całe szczęście okazała się dość wyrozumiała i zupełnie się tym nie przejmowała. Mimo kilku jej sugestii na temat poszukania profesjonalnej opieki nie naciskała, gdy odmawiałem. Gdybym przeniósł się wtedy do rodziny, pewnie nie poszłoby mi tak lekko i prawdopodobnie już czuwałoby nade mną kilku specjalistów uzbrojonych w ciężką chemię.

Moi rodzice nie chcieli dać mi spokoju. Wydzwaniali po kilka razy dziennie, a gdy przestałem odbierać, wydzwaniali do Ady.

Nie umiałem z nikim rozmawiać. Nie wiedziałem, jak odpowiadać na ich pytania. Skupiałem się na tym, jak odnaleźć się w bieżącej chwili, a przyszłość wydawała mi się fikcją. Wciąż przetwarzałem w swojej głowie obrazy sprzed kilku dni. Nie mogłem od nich uciec. Gdy tylko wchodziłem do łazienki, widziałem leżącą na podłodze Weronikę. Gdy patrzyłem za okno, odtwarzałem swój dramatyczny przyjazd, a gdy spoglądałem na telefon, myślałem o moich próbach dodzwonienia się do niej.

Moje życie stało się koszmarem, z jakiego nie potrafiłem i chyba nie do końca chciałem się uwolnić. Całe dni spędzałem na siedzeniu i leżeniu. Przez dwie pierwsze noce nie spałem nawet chwili. Czułem duże zmęczenie, jednak mój mózg tak intensywnie przetwarzał informacje, że nie pozwalał mi na sen. Przemęczenie, bezsilność, wyczerpanie, przeciążenie – tym była wtedy moja fizyczność... taki bankiet wszelkich dolegliwości ulokowany w moim ciele. Częściowo minęło to dopiero po paru dniach.

Dopiero wtedy udało mi się zasnąć na kilka godzin, po czym wydarzyło się coś dziwnego. Czułem jakbym odzyskał świadomość w trakcie snu, jakbym obudził się bez otwierania

oczu. W tym stanie, przez jakiś czas, leżałem na łóżku, myśląc o moim związku z Weroniką, o naszych najlepszych chwilach. Przypominałem sobie, jak bardzo byliśmy ze sobą szczęśliwi.

Gdy w końcu wstałem, uznałem, że to cierpienie samo się nie zakończy. Pierwszy raz od utraty przytomności miałem siłę na wykonanie jakiegoś kroku. Nie można było tego nazwać krokiem naprzód, chociaż wtedy myślałem inaczej. Czułem, że popadam coraz głębiej w depresję i niemal sięgam już stanów agonalnych. Chciałem uciec, zająć czymś swój mózg, żeby już tak się nie męczyć. Wziąłem do ręki telefon i nie zwracając uwagi na komunikaty o nieodebranych połączeniach i nieodczytanych wiadomościach, wybrałem numer do Filipa, kolegi z pracy. Nie robił tajemnicy z tego, że zażywa narkotyki.

Odebrał z wyraźnym przejęciem.

- Robert! Stary, wszystko w porządku?
- Nie.
- W firmie wszyscy się o ciebie martwimy.

Domyśliłem się, że Ada wytłumaczyła moją sytuację szefowi, a ten pewnie streścił ją reszcie.

- Patrycja jakoś dotarła do Warszawy?
- Tak, zorganizowała sobie transport. Ma ponoć twoje rzeczy.
- To dobrze... Filip, dzwonię do ciebie z prośbą.
- Dawaj.
- Słyszysz cię ktoś?
- Tak.
- Mam nadzieję, że nie zrozumieją... Odpowiadaj tak, żeby nie domyślili się, o czym rozmawiamy.

- OK.
- Słuchaj, męczę się, trochę sobie z tym wszystkim nie radzę. Potrzebuję trochę się wyluzować. Załatwisz mi coś?

- Co konkretnie?
- Nie wiem, chyba zioło. Mógłbyś?

Pomyślałem o czymś mocniejszym niż marihuana, ale w ostatniej chwili powstrzymałem się.

- Nie ma problemu. Mogę podjechać do ciebie po robocie. Podeslij tylko adres.

– Dzięki, już ci wysyłam.

Kilka godzin później Filip był już u mnie i wyraźnie liczył, że zapalimy razem. Spławiłem go, mówiąc, że nie jestem ostatnio zbyt rozmowny i wolę zostać sam. Przyjął to ze zrozumieniem.

Tuż po jego wyjściu zrobiłem sobie skręta i zapaliłem. Był to mój pierwszy raz od wielu lat. Początkowo czułem, że popadam w paranoję, jednak po kilku dłuższych chwilach znów mogłem poczuć się odrobinę normalniej.

Efektów palenia nie odczuwałem tak jak dawniej. Nie miałem napadów śmiechu, nie cieszyłem się jak głupi do sera z wszystkiego, co zobaczyłem. Odnosiłem wrażenie, że moje samopoczucie jest odrobinę bliższe temu, jakie miałem do niedawna na trzeźwo, bliskie na tyle, żeby odzyskać na moment względną sprawność funkcjonowania.

Godzinę później poczułem namiastkę szczęścia. Moje intensywne myśli nieustannie krążyły wokół wspomnień z Niką. Zdecydowałem się obejrzeć nasze zdjęcia na komputerze. Jedno z nich wywołało mój śmiech, który krótko później zamienił się w głośny płacz. Smutek nie opuścił mnie już do końca dnia.

Późnym wieczorem zdecydowałem się na wyciągnięcie z ukrycia pierścionka zaręczynowego, jaki dla niej kupiłem. Jego widok spotęgował towarzyszące mi poczucie żalu.

Ostatnim pozytywnym akcentem, wynikającym z zapalenia trawy, był fakt, że w końcu dobrze się najadłem i zasnąłem bez najmniejszych problemów.

Obudziwszy się następnego dnia, przez moment mogłem rozpromienić się krótkim przebłyskiem dawnej świadomości. Wolno bijące serce przywoływało we mnie wspomnienie chwil, w których mieszkał w nim spokój. Wyłącznie otępienie umysłu pozwalało mi spojrzeć na świat nieprześląknięty goryczą. Zbyt szybko przychodziła jednak chęć kontaktu z Niką. Serce gwałtownie przyspieszało, oddech się spłycał.

– Gdzie jesteś? Gdzie...? Nie... Nie! To nieprawda! Nie może! – głośno walczyłem z okrutną rzeczywistością.

Stale jej szukałem, wciąż się za nią rozglądałem, ale za każdym razem uderzałem w ogrodzenie makabrycznej prawdy, od której tak bardzo chciałem uciekać.

Wróciwszy myślą do poprzedniego wieczoru, postanowiłem jak najszybciej powtórzyć to, co pozwoliło mi poczuć się lepiej. Mimo że nawet wtedy głównie płakałem, ból nie był tak silny, jak zwykle. Wiedziałem, że znalazłem wyjście awaryjne z potrzasku, w jakim

znalazł się mój umysł. Miałem odłożoną jeszcze blisko połowę suszu, jaki przyniósł mi Filip. Była siódma rano, za około godzinę miała do mnie zajrzeć Ada. Przyjeżdżała niemal codziennie przed pracą. Musiałem więc wstrzymać się z paleniem. Nie potrzebowałem żadnych kazań ani utrudnień, jakie z pewnością by mnie czekały, gdyby zorientowała się, co robiłem. Schowałem zioło w miejsce, gdzie do poprzedniego wieczoru leżał pierścionek – ten został na widoku.

Tak jak się spodziewałem, Ada przyszła koło ósmej. Jak co dzień przyniosła mi świeże pieczywo i coś na obiad. Szybko zorientowała się, że wczoraj sporo zjadłem, co ją wyraźnie ucieszyło. Pomyślałem, że czegoś mimo wszystko się domyśla, chociaż niewiele na to wskazywało.

Moment zamknięcia drzwi był dla mnie sygnałem, żeby zapalić. Zachowywałem się jak nastoletni ćpun, który chowa się po kątach, szukając okazji do odurzenia. W kilkadziesiąt minut wypaliłem wszystko, co mi zostało. Znow przez chwilę było mi dobrze. Chciałem więcej, ale bez angażowania Filipa. Wtedy pierwszy raz od pamiętnej nocy wyszedłem z domu i udałem się w stronę lokalnych mętów, czyli tak zwanego społecznego marginesu okupującego osiedlowe ławki. Nie raz czułem strach, patrząc na ich zakazane gęby, ale tamtego dnia widziałem w nich jedyną nadzieję na normalność... Moi zbawiciele... Tak jak przypuszczałem, mimo rannych godzin, kiedy większość ludzi jest w pracy, między blokami urzędowała grupka czterech czy pięciu niewiele starszych ode mnie, zmęczonych codziennością chłopaków. Bez zastanowienia rozpocząłem z nimi rozmowę.

- Cześć, potrzebuję waszej pomocy.
- A co to, fundacja? – rzucił jeden z nich.
- Mieszkam w tym bloku – wskazałem palcem w kierunku swojej klatki – nie za bardzo znam kogokolwiek na osiedlu. Potrzebuję zioła albo nawet czegoś mocniejszego. Teraz kupuję z drugiej strony Warszawy, a muszę znaleźć kogoś na miejscu, pomożecie mi?
- Coś ci się pomyliło, palancie. Nikt tu nie planuje odsiadki – usłyszałem od innego. Odebrałem to jako sugestię, że ich podpuszczam.
- Myślisz, że was wrabiam? Z policją ostatnio miałem wspólnego tyle, że szarpałem się z nią w swoim mieszkaniu.
- Czekaj... To ty jesteś tym kolesiem, któremu zmarła ostatnio laska? Najwyraźniej o tej historii mówiło się w okolicy więcej, niż mogłem przypuszczać.
- Pomożecie mi czy nie?! – krzyknąłem rozzłoszczony.

- Stary, w ten sposób się stoczysz.
- Gdybym potrzebował doradców, to słuchałbym wszystkich przejętych dookoła siebie. Liczyłem, że przynajmniej obcy ludzie nie będą mnie oceniać – nakręcałem się z każdym słowem.
- Ja ci pomogę – rzucił z przekonaniem chłopak, który jeszcze się nie odzywał.
- Dzięki – uspokoilem się. – Załatw mi najlepiej coś, co mocno mnie pieprznie. Mieszkanie sześćset szesnaście, blok znasz. Policz tak, żeby ci się opłacało. Będę pewnie tego potrzebować więcej niż jeden raz. – Mówiąc to, wyciągnąłem z kieszeni i dałem mu dwustuzłotowy banknot, co wyraźnie wszystkich zaskoczyło. Ryzykowałem, że nie przyjdzie, ale miałem więcej do zyskania niż stracenia... przynajmniej tak wtedy myślałem.
- Będę wieczorem – powiedział z przekonaniem.

Nie mając żadnego zajęcia, poszedłem w stronę płynącej w pobliżu Wisły. Po drodze kupiłem butelkę wódki i coś na jej przepicie. Usiadłem w cieniu pod jednym z drzew nad rzeką i zacząłem pić. Czułem, jakby wszystko, co działo się wokół mnie, było szybsze, niż potrafiłem śledzić wzrokiem. Fizycznie czułem się fatalnie, ale wewnątrz mogłem przez chwilę doznać czegoś innego niż cierpienie. Spędziłem w ten sposób kilka godzin, głównie siedząc lub leżąc na trawie. W międzyczasie przypalała się kilku bezdomnych z nadzieją, że się z nimi podzielę, ale odstraszyłem ich samym wyrazem twarzy.

Gdy poczułem już wyraźne skutki picia, było jeszcze gorzej. W swoim zmarnowaniu nie zareagowałbym nawet, gdyby oszczał mnie pies. Przypomniałem sobie wtedy pewną scenę z mojego nastoletniego życia.

Wyszedłem kiedyś ze znajomymi zapalić papierosa przed blokiem, w którym mieszkałem. Jak to bywa na osiedlach z młodzieżą, mieliśmy swoją ulubioną ławkę, którą tamtego dnia zajmował przysypiający facet. Był ubrudzony i pod wyraźnym wpływem alkoholu. Delikatnie rzecz ujmując, nie należałem w tamtym czasie do ludzi wielkodusznych, dlatego ten Bogu ducha winny człowiek usłyszał wtedy z moich ust szereg zgryźliwych żartów pod swoim adresem. Niby mówiłem do kolegów, ale robiłem to tak, żeby dobrze mnie rozumiał. Tuż po tym wstał i z wyraźnym trudem ruszył w moją stronę. Gdy znalazł się już przy mnie, byłem nastawiony agresywnie, bo myślałem, że planuje użyć siły albo chociaż zrobić awanturę. Ku mojemu zdziwieniu położył rękę na

moim ramieniu i z zasępieniem powiedział: „Kiedyś też byłem młody i dużo się śmiałem...”.

Przez wiele lat wspomnienie tamtej chwili potrafiło odebrać mi mowę. Każdy z takich ludzi, każdy alkoholik nieczujący już upokorzenia, gdy prosi o parę złotych przechodniów, ma swoją trudną historię. Jeden zmarnował sobie życie przez brak umiaru w używkach, inny przeżył tragedię i przestało mu zależeć na życiu. Zwykle są ofiarami, nawet jeśli zaprowadziła ich w takie miejsca słabość własnych umysłów. Czuję, że jestem na najlepszej drodze, żeby skończyć jako jeden z nich.

Metą mojej podróży wydawała się całkowita autodestrukcja. Patrząc na mój stan psychiczny, można by wtedy pomyśleć, że jest ze mną tak źle, że daleko mi nawet do ludzi, z którymi rozmawiałem przed południem pod swoim blokiem. Nie martwiło mnie to, ale też nie było obojętne. Niestety świadomość własnego położenia nie działała na mnie tak, jak powinna. Czuję pewien rodzaj zadowolenia z tego, co ze sobą robiłem.

Myśląc o swoich rozmówcach, uświadomiłem sobie, że zrobił się już wieczór i powinienem się zbierać. Chcąc odebrać moją działkę szczęścia, podniosłem się i udałem w stronę domu. Tam usiadłem na kanapie i patrzyłem na ścienny zegar. Jedyne, co się zmieniało w całym mieszkaniu, to jego wskazówki. Nieruchomo przyglądałem się im przez ponad godzinę.

Wtedy zadzwoniła Ada. Pewnie przyszła do mnie, gdy urzędowałem nad Wisłą. Nie zdecydowałem się odebrać. Irytowała mnie już jej troskliwość. Nie była moją matką, a ja obawiałem się jej reakcji na to, że jestem wstawiony. Wtedy nie widziałem w tym pozytywów, a raczej formę prześladowania. Nieodbieranie połączenia wydało mi się łagodniejszym wyjściem.

W końcu rozległ się dźwięk domofonu. Zastanawiałem się, czy to ona, czy chłopak z osiedla. Chłopak. Chciał, żebym do niego zszedł, ale kazałem mu wejść do mnie na górę. Po chwili pukał już do drzwi.

– Siemasz, jesteś sam? – upewniał się, że nikt nie usłyszy, o czym będziemy rozmawiać.

– Tak, wejdź.

Wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

– Mam dla ciebie coś, co przeniesie cię w inny świat, znaczy się w dobry sposób.

– To dobrze, tego mi trzeba.

Wyjął i pokazał mi zwiniętą folią aluminiową kulkę.

– Co to?

– Kompot. Chciałeś czegoś mocnego. Mocniejszego nie znajdziesz. Brałeś to kiedyś?

Wiedziałem, że kompot to potoczne określenie heroiny. Dawniej wywołująca we mnie przerażenie, tamtego wieczoru wydawała się sposobem na wyzwolenie.

– Nie.

– Starczy ci na kilka razy. Podgrzej to zmieszane z kwaskiem cytrynowym i wodą na łyżce. Przed wzięciem chwilę odczekaj.

– A po co kwasek cytrynowy?

– Bez niego się nie rozpuści.

– A ty to kiedyś brałeś?

– Kilka razy.

– Dobra, dzięki. – Wyciągnąłem rękę po to, co przyniósł.

– Po chwili będziesz szczęśliwy. Weź na początek niewiele, bo jeśli przesadzisz, będziesz miał przesrane. – Wręczył mi zwinięty narkotyk.

– Niewiele, to znaczy ile?

– Zmieszaj szczyptę. Zresztą poczytaj w necie. Wszystko tam łatwo znajdziesz. Można powiedzieć, że to wiedza powszechna.

– Poczytam.

– Tu masz resztę – ku mojemu zaskoczeniu wyciągnął z kieszeni osiemdziesiąt złotych.

– To też się przyda. – Podał strzykawkę i igłę.

– Pieniądze zatrzymaj, strzykawkę wezmę. Dzięki za pomoc.

– Nie ma problemu, ziomuś... Uważaj na siebie.

Położył resztę na komodzie i wyszedł. Lokalny dresiarz przejmował się moim losem i na swój sposób próbował mi pomagać... Niebywałe.

Po picciu nad Wisłą byłem porządnie podpity. Nie wiedziałem, czy nie przesadzę, biorąc dodatkowo tak silny narkotyk. Pochłonięty tym dylematem, w ogóle nie myślałem, że właśnie nabyłem najgorsze gównno, jakie krążyło na czarnym rynku. Ile historii opowiadano o tym, jak heroina zniszczyła komuś życie? Ile osób po tym zmarło? W tamtym momencie nie miało to dla mnie znaczenia.

Zastanawiałem się, czy wykonać kolejny krok, i podjąłem próbę wzięcia się w garść. Usiadłem na kanapie i spróbowałem złapać większy kontakt z rzeczywistością. Skupiałem

się na tym, co widzę, tak by nie pozwolić moim myślom odpłynąć. Patrzyłem w skupieniu na te same przedmioty, które widziałem dziesiątki, może setki tysięcy razy. Żeby tylko zająć czymś głowę, myślałem intensywnie o wszystkim, co mogło być z nimi związane.

Przyglądając się stojącemu przede mną stolikowi, zastanawiałem się nad historią jego powstawania – wyobrażałem sobie, jak wycinano drzewo, przewożono je do tartaku, piłowano na części, po czym zbierano wióry, które później sklejonono i wycięto pod wymiar średnio stabilnych nóg i blatu. Później starałem się odtworzyć jego drogę do miejsca, w jakim stał. Od skrócenia w całość, przez transport do sklepu, po zakup przez właściciela mieszkania. Zastanawiałem się nad tym, z czego zrobiony jest dywan, na którym kładłem swoje nogi. Jak wydobyto wodę, którą maszynowo zamknięto w plastikowej butelce. Jaki proces przeszła farba pokrywająca otaczające mnie ściany? Co pamiętają te ściany? Jak powstawały?

Bezsensownie zapychałem swój umysł nieistotnymi rozważaniami. Po to, by tylko nie zalać się ponownie łzami... żeby chociaż trochę przypominać spokojnego człowieka.

Ta ambitna próba bezlitośnie sprowadziła moje myśli do łatwej do przewidzenia klęski – oceny swojego samopoczucia. Stąd była już krótka droga do spostrzeżenia, że moje serce bije mocniej, niż powinno, że jestem w stanie je usłyszeć i w żaden sposób nie potrafię go zagłuszyć. Uderzało jak maszyna...

– Niech się w końcu uciszy, choćby na zawsze – powtarzałem sfrustrowany.

Mój oddech spłycił się i z wysiłkiem nabierałem większą ilość powietrza do płuc. Były to już dobrze mi ostatnio znane odczucia. Znowu spojrzałem na stół i skupiłem się na leżącym na nim pudełku z pierścionkiem zaręczynowym.

Moje nieudolna próba opanowania emocji definitywnie zakończyła się fiaskiem. W panice szukałem czegoś, co mogło jeszcze mnie rozproszyć, co pozwoliłoby mi nie myśleć o tym, jak bardzo mi źle. Zagryzłem zęby, a po policzkach płynęły łzy. Ponownie przegrałem... przegrałem z samym sobą.

Usiadłem przy komputerze, włączyłem muzykę i w jej melancholijnym klimacie znowu boleśnie przeżywałem wspomnienia najwspanialszych chwil mojego życia... Tych, które zamiast radości zadawały już jedynie cierpienie. Żal był potężny, nie potrafiłem sobie z nim poradzić.

Gdy wyświetliłem zdjęcia Weroniki, zrozumiałem, że ta leżąca przede mną działka heroiny z pewnością się nie zmarnuje. Przy którejś z fotografii poczułem silny wzrost ciśnienia. Zaciśnąłem pięści i zerwałem się z krzesła.

– Dlaczego?! Dlaczego ode mnie odeszłaś?!

Uderzyłem pięścią w ścianę, przeszył mnie silny ból. Zaskakująco miło było poczuć go w innym miejscu niż moja wycieńczona psychika. Uderzyłem więc raz jeszcze, znacznie mocniej.

Wpadłem w furję. Czuję nienawiść do siebie, wstręt do życia, obrzydzenie do wszystkiego, co się w nim znajdowało. Miałem ochotę zniszczyć całe piękno, jakie daje innym szczęście. Nie czułem w sobie złości, czułem zło. Opętała mnie jakaś siła, która sprawiała, że mógłbym skażać krystalicznie czystą wodę z moich dawniej ulubionych górskich potoków i zatruwać nią ekologów. Chciałem zabijać idee, niszczyć marzenia i pozbawiać nadziei. W tej krótkiej chwili byłem przeciwieństwem dawnego siebie. Mój żal do losu był w stanie zamienić mnie w istnego potwora.

W pokoju stała wciąż rozstawiona przez Nikę suszarka z rozwieszonymi ubraniami. Chwyciłem ją i rzuciłem o ścianę. Zachowywałem się, jakbym był całkowicie obłąkany. Zapłakany spojrzałem na komputer, wciąż wyświetlał nasze zdjęcie. Wolno do niego podszedłem, zbierając w sobie całą złą energię, jaką niszczyła mnie od środka, i z całych sił cisnąłem nim w przeszklony barek z kieliszkami. Dźwięk tłuczonego szkła doskonale odzwierciedlał stan mojego ducha...

Podparłem się o stół.

– Nie umiem, nie potrafię tak żyć, nie mam już po co. Ja też umarłem... Umarłem razem z tobą. Muszę się uwolnić z tej zepsutej skorupy. Idę do ciebie, Niki. Nie będziesz długo czekała – mówiłem, licząc, że słucha mnie gdzieś z zaświatów.

Spojrzałem na srebrne zawiniątko z heroiną. Bez większego namysłu przesyłałem całą zawartość na łyżkę stołową, zmieszałem z wodą, dodałem kwasu, żeby przyspieszyć rozpuszczanie, i podgrzałem zapalniczką. Zdziwiające, że gdy przeglądałem nasze zdjęcia, ręce trzęsły mi się tak bardzo, że miałem problem z obsługą komputera, a gdy przygotowywałem tę działkę, były tak stabilne, jakby nie należały do mnie.

Nie chciałem się wtedy naćpać. Wiedziałem, że taka dawka mnie zabije. Chciałem na własną rękę zakończyć tę dramatyczną historię pisaną przez moje życie. Przyglądałem się, jak ta nieszczęsna mieszanka zamienia się w płynną brązową ciecz, po czym położyłem

nagrzaną łyżkę na stole i wypełniłem całą strzykawkę jej zawartością. Mocno uderzyłem się w wewnętrzną część lewej ręki na wysokości łokcia. Zauważyłem żyłę i wbiłem w nią igłę. Podniosłem wzrok i wyobraziłem sobie stojącą przede mną Nikę. Widziałem ją bardzo wyraźnie. Była równie zapłakana jak ja. Nie było już odwrotu od decyzji, jaką podjąłem. Patrząc w jej oczy, z całych sił zapragnąłem dołączyć do miejsca, w którym się znajdowała. Podałem sobie całą dawkę. Mój złoty strzał, mój bilet do wolności.

– Żegnaj świecie i nie tęsknij za mną... Zniszczyłeś mnie. Poddaję się. Masz, czego chciałeś. Byłem za słaby, a ty to bezwzględnie wykorzystałeś. Zgniotłeś mnie jak zwykle robactwo. Brzydzę się tobą, zasrany, tragiczny teatrzyku. Pieprz się... już bez mojego udziału...

Mój umysł momentalnie zareagował na silny narkotyk. Pierwszym objawem była utrata ostrości widzenia. Tuż po tym poczułem ogarniające mnie ciepło. Przestałem trzymać się na nogach. Nie byłem w stanie przemieścić się kilka metrów dzielące mnie od kanapy, położyłem się więc pośrodku drogi na dywanie. Nie czułem żadnego uniesienia. Nie doświadczałem niczego, o czym słyszałem i czytałem na temat tego, co dzieje się po zażyciu heroiny. Czułem coraz mniej, myślałem coraz płycej, aż ogarnęła mnie całkowita obojętność. Odczucie przyjemnego ciepła pogłębiało się, aż zamieniło się w zalewające mnie, palące gorąco. Pojawiły się duszności, coraz trudniej łapałem oddech. Obraz stawał się coraz bardziej rozmyty, a moje tchnienie coraz słabsze. Odchodziłem i nie wierzyłem, że cokolwiek jest w stanie to zmienić. Nie żałowałem ani trochę, byłem nawet przekonany, że w sytuacji, w której się znalazłem, nie mogłem zrobić nic lepszego.

Spróbowałem przeczołgać się w stronę kanapy, ale widziałem już niewiele i czułem tak silną dezorientację położenia, że nie byłem pewien, czy przemieszczam się w dobrym kierunku.

Słyszałem przerażający dźwięk. Podobny do liturgicznych dzwonek, jakimi dzwonią ministranci na mszy w kościele. Dzwoniły monotennie, bez przerywania, jakby gdzieś w oddali za oknem.

Zamknąłem na moment oczy, żeby złapać ostrość. Gdy je otworzyłem, zauważyłem, że widzę jeszcze mniej. Przestałem już próbować się przemieścić. Nie byłbym w stanie podnieść się z dywanu.

Zamknąłem oczy ponownie. Po nieco dłuższej chwili rozchyliłem powieki. Tego, co przetwarzał mój umysł, już nie można było nazwać obrazem. Nie widziałem praktycznie

nic. Pływające kolorowe smugi kazały moim źrenicom panicznie błędzić za jakimkolwiek punktem zaczepienia. Bez skutku. Zamknąłem je raz jeszcze. Nagle zrobiło się inaczej. Zobaczyłem wyraźny obraz – szczęśliwą Weronikę, szczęśliwego siebie, szczęśliwych nas razem. Byłem już w innym miejscu... dokładnie tam, gdzie chciałem. Patrzyliśmy sobie w oczy. Wyciągnęliśmy w swoim kierunku dłonie, a te splotły się palcami, jakby łączyły się w jedność. Byliśmy równie blisko jak dawniej...

Tracąc bratnią duszę, natychmiast rzuciłem się za nią do lodowatej wody. Wierzyłem, że znów się odnajdziemy, bo tylko z nią to wszystko miało sens. Rozpaczliwie szukając swojego towarzysza, tonąłem wraz z naszymi marzeniami, pragnieniami i planami. Zrozumiałem, że już nic nie mogę zmienić. W poczuciu bezsilności całkowicie się poddałem. Nie miałem ochoty płynąć dalej, chciałem pójść na dno w miejscu, które zakończyło naszą wspólną podróż. Wyłącznie w nim mogliśmy pozostać razem...